

Jan Maciejewski: Lipiec. Sianokosy

Lipiec pamięta wciąż, że powinno się go niecierpliwie oczekiwać, ale zapomniał dlaczego. A świat, który nie potrafi już cieszyć się z wykonywanej przez siebie pracy, podsunął mu myśl, że niecierpliwie można się tylko w nadziei na odpoczynek. Nuci więc kolejne hity lata w rytmie na dwa i wpada w wakacyjne odrętwienie – pisze Jan Maciejewski.

W tym momencie roku stary świat najdalej rozchodzi się z obyczajami nowego. Ten pierwszy w lipcu zakasywał rękawy, drugi – rozkłada się na plaży.

Jeszcze przed świtem nad polami powinien unosić się odgłos ostrzenia kos. Melodyjne „uiiizzz, uiiiizzz” jak strojenie instrumentów przed rozpoczęciem koncertu. I rzeczywiście, za chwilę rozbrzmi pewna pieśń. Dla utrzymania właściwego rytmu, zabicia czasu a może czemuś jeszcze, kosiarze zwykli często śpiewać przy swojej pracy. Naturalny, czy po prostu taneczny ruch, jakiego wymaga budowa kosy od ciała człowieka, nadawał ich śpiewowi równy rytm. Jaka była jego treść? To pytanie, od którego zależy jakość każdej pracy, nie tylko tej w polu.

Lipiec nucił ich ustami o najpiękniejszym rodzaju zmęczenia. Takiego, które przynosi konkretny, namacalny, mierzony każdym kolejnym postawionym w głąb pola krokiem efekt. I następuje w odpowiednim momencie. Nie za wcześnie, kiedy zboże nie jest jeszcze dojrzałe ani nie za późno, gdy zdąży przejrzeć.

Tak pracować, by chciało się przy tym śpiewać. Zdać sprawę z osiągniętej właśnie harmonii wysiłku i efektu. Wpaść w odpowiedni rytm zadań. Nie ponaglać ani nie ociągać się. Każdym ruchem nadawać nową treść światu, dopowiadać słowa stworzenia. Taka praca sama w sobie jest już zapłatą. Efektem i spełnieniem.

Do naszych czasów dotrwało tylko dalekie echo tamtej pieśni. Lipiec pamięta wciąż, że powinno się go niecierpliwie oczekiwać, ale zapomniał dlaczego. A świat, który nie potrafi już cieszyć się z wykonywanej przez siebie pracy, podsunął mu myśl, że niecierpliwie można się tylko w nadziei na odpoczynek. Nuci więc kolejne hity lata w rytmie na dwa i wpada w wakacyjne odrętwienie.

Na motywach życia i twórczości Gézy Csátha

Obudziło nas łomotanie do drzwi. Zszedłem ze schodów, trzymając w ręce zapaloną świecę. Ostrożnie stawiałem kroki, ostrożniej niż wymagałyby tego panująca ciemność i moje rozespanie. Miałem nadzieję, że się znudzi i sobie pójdzie. Nie byłoby sensu udawać, że nie ma nas w domu, minęliśmy się na mieście zaledwie kilka godzin wcześniej.

To mógł być tylko on, nikt inny. Ta świadomość dotarła do mnie

właściwie jeszcze zanim się obudziłem, spotkaliśmy się już w moim śnie. Nikt inny nie nachodził nas o tej porze i tylko on jeden pukał w ten sposób: tak szybko i jednostajnie, jakby po prostu zbliżał i tak stale trzęsącą się rękę do drzwi.

Spowalniając kroku, liczyłem wyłącznie na jego niecierpliwość, na to, że nie wytrwa przy moich drzwiach i pobiegnie szukać innych. Ale nie wziąłem pod uwagę tego, że poza naszymi, żadne inne w tym mieście już się przed nim nie otworzą. Nie zapytałem „kto tam”, tylko od razu wpuściłem go do środka. Wszedł bez słowa, ściągnął ubłocone buty i mokry płaszcz, starannie ułożył je w rogu przedpokoju. Miał na sobie wytartą marynarkę, poluzowany krawat, koszulę z odpiętymi trzema górnymi guzikami. Owionął mnie kwaśny zapach jego potu. On jeden wiedział, od jak dawna był w drodze, po raz pierwszy od ilu dni znalazł się pod dachem. Rzucił mi wyleknione spojrzenie, jakby chciał prosić o dyskrecję, o niewszczywanie alarmu; zapewnić, że wyjdzie stąd przed świtem, zanim wstaną dzieci. Zdawał sobie sprawę, że bezradność jest jego ostatnią w miarę mocną kartą, rzucił ją na stół jak grający *va banque* desperat. Wskazałem mu ręką drogę do kuchni.

Zapaliłem stojącą na stole lampę naftową, rozпалиłem ogień w piecu, postawiłem czajnik z wodą, do dwóch kubków nasypałem mocnej, aromatycznej herbaty. Robiłem więc to wszystko, co zwykło się czynić w takich wypadkach. Nie z grzeczności czy poczucia obowiązku. Ja też miałem swoją bezradność, ale nie mogłem nią zagrać przeciwko niemu. Król na króla, zaczniesz wojnę, licytacja, posypią słowa, oskarżenia i wyrzuty. Dokładnie tak, jak w tej pierwszej i najprostszej grze karcianej, w którą nauczyliśmy się grać. Mieliśmy po sześć lat i kochaliśmy się jak bracia. Tak bezinteresownie i czysto, jak pokochać można tylko brata ciotecznego. Jest to ten rodzaj więzi, w której proporcje losu i wyboru są odmierzone najbardziej doskonale. Kuzyni są sobie zaproponowani,

bracia – narzuceni. Brat cioteczny pojawia się, jest wydarzeniem, atrakcją albo zmorą. Można go zarazem unikać, jak i wyczekiwać. Józef i ja łąkaliśmy siebie, pożądali czasu i uwagi tego drugiego, jego spojrzenia i akceptacji. Nasza przyjaźń zawiązałyby się tak czy inaczej, jestem tego pewien. Ale przez fakt łączącego nas pokrewieństwa nabrała dodatkowej sankcji, aury nieuniknioności. Nie pamiętam, kiedy zaczęliśmy spędzać ze sobą wakacje, pewnie nie umieliśmy wtedy jeszcze obaj nawet mówić. Skończyło się dopiero po jego wyjeździe.

Nasze dziewczyny i narzeczone musiały uszanować to, że nigdy nie mieliśmy dla nich całego dnia ani każdego wieczoru. Jeśli nie były w stanie, pozwalaliśmy im odejść. Oznaczało to bowiem, że nie rozumiwały, z kim mają do czynienia. Wybaczałyśmy im tę pomyłkę bez żalu ani cienia pretensji. Im nieraz przychodziło to trudniej. Kobiety często nie potrafią zrozumieć natury męskiej przyjaźni, najbardziej bezinteresownego z afektów, najczystsze uczucia, jakie człowiek może żywić wobec drugiego przedstawiciela naszego gatunku. Owszem, damsko-męska namiętność potrafi być silniejsza, ale nigdy nie bywa trwalsza. Uczucie spotkania przyjaciela można by porównać do zakochania, ale dopiero po odcięciu od niego całej tej atmosfery wzajemnego udreczenia, podkrążonych oczu, zazdrości, spłyconego oddechu. A my dwaj nigdy nie spotkaliśmy się po raz pierwszy, zawsze trwaliśmy obok siebie. Zostaliśmy sobie ofiarowani.

Pamiętam jak pewnego lipcowego poranka był niespokojny, rozedrgany. Wiedziałem, że za chwilę coś się wydarzy. Że zrobił coś, o czym boi się powiedzieć, ale też czego nie może przede mną ukryć. To byłaby pierwsza nieszczerłość, jak pierwszy przyczółek próchnicy, który nieusunięty sprawiłby, że staniemy się dla siebie nawzajem nieznośni. Milczeliśmy siedząc nad brzegiem rzeki. Z Józefem można było milczeć wiele godzin, cisza nie krępowała żadnego z nas, przeciwnie. I tym razem też nie zamierzała tego robić, działa się za to z nią coś dziwnego.

Nabrzmiwała, puchła jak pęcherzyk powietrza albo bańka mydlana. Była tak intensywna, a jednocześnie konkretna, że można było śledzić, jak nadymając się i rosnąc zmienia jednocześnie swoje kształty. Jej cieniutka materia podejmowała walkę z prawami fizyki, wcześniej czy później skazana na porażkę. Strzepywaliśmy mrówki z naszych łydek, słuchaliśmy szumu wody i dobiegających z daleka śmiechów dzieci. Mieliśmy szesnaście lat.

Wreszcie Józef sięgnął do leżącego po jego prawej stronie plecaka i zaczął w nim grzebać. Wyjął z niego i podał mi zeszyt. Nowy, gładki, z jasnobrązową okładką. Zapisana była w nim tylko jedna strona. Jego pierwszy wiersz. Przeczytałem powoli i uważnie. Odłożyłem, popatrzyłem przez jakiś kwadrans na rzekę, potem przeczytałem raz jeszcze. Oddałem mu zeszyt bez słowa. W tym momencie bańka nie pękła, ale zamiast tego uwolniła się od naszych milczących oddechów i powoli odpłynęła. Jeszcze tego wieczoru sam zacząłem pisać. Józef wyruszał w podróż, a ja nie mogłem pozwolić odejść mu beze mnie. Zostałem pisarzem, żeby dotrzymać mu towarzystwa. Od tamtej pory, aż do jego pierwszego zniknięcia uczyniliśmy z siebie naszych pierwszych czytelników. I za każdym razem postępowaliśmy w ten sam sposób, nic nie mówiliśmy, nie udzielaliśmy rad ani nie wystawialiśmy ocen. Nie chodziło o nie, jedynie o milczącą kontrasygnatę. Urzędowe potwierdzenie nadania listu, który wyruszał właśnie w drogę do pozostałych czytelników.

Józef podjął decyzję o pisaniu jeszcze jako dziecko, leżąc pewnego wieczoru łóżku. Mieli służącą, której na imię było Eszti. Młoda, wiejska dziewczyna o kręconych rudych włosach i ciepłym głosie. Czytała mu do snu baśnie Andersena, najczęściej tę o ołowianym żołnierzyku. Jej głos kołysał go do snu, jej zapach otulał jego kilkuletnie ciało, a pan

Andersen nakłuwał i szarpał mu duszę swoimi opowieściami. Sny Józefa zaczynały się zawsze tak samo: Eszti w zielonej, powłóczystej sukni brała go za rękę, szli przez pachnący nią ogród, czuł mokrą trawę pod nagimi stopami. Dziewczyna uśmiechała się do niego, tylko trzymała jego rękę coraz luźniej, aż wreszcie zniknęła.

Pewnego dnia Eszti zniknęła naprawdę. Powiedziano mu, że wróciła do swojego domu. Nigdy więcej nie udało mu się trafić do ich ogrodu. Leżąc któreś nocy w łóżku i płacząc po kryjomu z tęsknoty, postanowił, że poszuka drogi pisząc własne baśnie. Jeszcze smutniejsze niż te pana Andersena. Będzie pukał do drzwi ogrodu tak długo, aż mu wreszcie otworzą. Majstrował przy bramie kluczem własnych słów. Nie opowiadał tego nikomu, nawet mnie. Domyśliłem się, że tak to właśnie wyglądało z jego wierszy. Pewności nabrałem dziesięć lat później.

Józef wyjechał wtedy do stolicy na studia, jego rodzice postanowili, że zostanie lekarzem, on – że psychiatrą. Zaczynało wtedy wschodzić nad nami wszystkimi ciemne słońce Freuda. Jedni kryli się przed nim, inni przeciwnie, rozbierali do naga i opalali w jego blasku. Józef przeczytał „Objaśnianie marzeń sennych” jeszcze przed maturą, niektóre fragmenty podkreślił tak mocno, że aż przebił ołówkiem stronę. Opowiadał mi o tym co tam wyczytał tonem, którego w nim nie lubiłem, który ostatecznie doprowadził do naszego rozstania. Zaczął brzmieć dorośle, w jego głos wkradło się poczucie wyższości. Nie wobec mnie, ale samego siebie. Dziecka zasypiającego z grymasem napięcia i blaskiem nadziei na twarzy. Ja myślałem o nim z miłością, Józef – z zaciekawieniem.

Pewnego dnia doniósł mi w liście, że spotkał Eszti. Wpadli na siebie przypadkiem, przed oknem wystawowym sklepu z kapeluszami. Przyjechała do stolicy, żeby – jak się podobno wyraziła – „raz jeszcze spróbować”. Chciała zostać guwernantką, nauczyła się na własną rękę francuskiego, czytała książki, całą sobą przygotowywała do podjęcia roli nauczycielki i przewodniczki jakiegoś kilkuletniego stworzenia. Nie powiodło jej się, a wracać nie miała już dokąd. Postanowiła więc zostać – sama miała użyć dokładnie tego zwrotu – kobietą upadłą. Józef opisał mi dokładnie w swym liście jej wygląd i ich rozmowę. Wydaje mi się, że po to, by podkreślić, że nie było w niej ani krzty wulgarności. I to w żadnej z odmian. Ponieważ nie stała się też nikim w rodzaju Soni Marmieładow, nie rozpaczała, nie zakrywała twarzy ze wstydu przed swoim losem, w objęciach odwiedzających ją mężczyzn nie pokutowała ani też nie stawała się wyuzdana. Ubrana była elegancko i skromnie, dokładnie tak, jak mieszkańcy wsi wyobrażają sobie guwernantki z dużego miasta. Rozmawiali o domu Józefa, zdawał jej sprawę z losów swoich rodziców i własnych, śmiali się wspominając ich wspólne wieczorne lektury. Podsunął jej ramię a ona skromnie, ale bez skrępowania ujęła je. Tak doszli pod kamienicę, w której mieszkała. Tego wieczoru Józef uczynił ją swoją kochanką.

Nie wiem, ile to trwało, podobnie jak nie zapytałem go nigdy czy dawał jej pieniądze. W pewnym momencie przestał o niej wspominać, zbiegło się to w czasie z jego pierwszymi doniesieniami na temat morfiny. W listach do mnie wyliczał precyzyjnie dawki, jakie przyjmował, opisywał mi swoje przeżycie jakby spisywał ewangelię jakiejś nowej religii. Ale to nie było już literatura, tylko medycyna. Podejrzewałem to już wcześniej, jeszcze przed jego wyjazdem na studia. Jego pisanie robiło się z czasem coraz bardziej płaskie, a jednocześnie egzaltowane. W jego frazy wkradła się nerwowość, jakby mur, u którego stawał pisząc rósł

coraz wyżej. Za każdym wsunięciem opiumowego klucza w drzwi bramy, ta zatrzaśkiwała się coraz mocniej.

Kiedy spotkaliśmy się kolejnego lata był blady, miał podkrążone oczy i uśmiechał się nerwowo. Nigdy nie pożyczał ode mnie pieniędzy, a niewielu w naszym mieście może to o sobie powiedzieć. To było z jego strony jak ostatni dowód przyjaźni. Wkrótce potem zniknął. Rozpoczął swoją rajzę po wszystkich miejscowościach wypoczynkowych naszego kraju. Został lekarzem uzdrowiskowym, co sprowadzało się prawdopodobnie do wypisywania recept na oparzenia starszym damom, którym przydarzyło się zasiedzieć na słońcu. Miał tam za to swobodny dostęp do morfiny. O tym, że się ożenił dowiedzieliśmy się wszyscy dopiero wtedy, gdy zastrzelił swoją żonę. Było to dwa miesiące przed nocą, której do mnie przyszedł. Jego rodzicom udało się umieścić go w szpitalu psychiatrycznym. Oczywiście uciekł stamtąd bez trudu.

Miałem czas, mogłem o tym wszystkim myśleć. Józef siedział nieruchomo, nie wypowiedział ani słowa. Cisza między nami nie nabrzmiewała, przesuwała się lekko, płynęła jak wydrążonym głęboko korytem rzeki, która ma dla siebie więcej miejsca niż jest jej potrzebne. Widać było, że jest na rozpaczliwym głodzie, ale nawet teraz nie poprosił mnie o pieniądze. Trudno mi było tego nie docenić. Ale patrzyłem na niego jak na obcego człowieka. Od tak dawna szedł drogą, po której nie mogłem za nim nadążyć. Wryła mu się na twarzy jakaś niehumanitarna mądrość, jego rysy były wyżłobione jej ciężarem. Wyglądał jak człowiek, który ma dwadzieścia milionów lat. Co noc przeżywa po parę tysiącleci, migają mu przed oczami ery i epoki, a on nie może zamieszkać w żadnej z nich.

Myślę, że przyszedł tej nocy, bo wiedział, że ja jeden będę w stanie zrozumieć naturę jego porażki. Któregoś poranka, gdy niewiele było już na jego ciele miejsc bez nakłuc i sińców, zdał sobie sprawę, że nie znajdzie już takiego języka, w którym byłby w stanie opisać swoje wizje. Że pozostanie z nimi sam, a nawet gorzej – jest wydany na ich pastwę. Nie da rady zamknąć ich w słowach, wyłowić w zdaniach, a więc mogę bezkarnie przewalać się przed jego oczami. To on został ich narzędziem. Domagają się tego by wrócić kolejnej nocy. Są niecierpliwi jak on kiedyś. Może udałoby mu się zdobyć skądś kilka miligramów morfiny, ale on chciał, żebym zobaczył go głodnym. Nie żebym się ulitował, ale zrozumiał. To on stał się bramą, którą otwierała strzykawka. Mostem prowadzącym do sztucznych rajów. Miał dwadzieścia milionów lat a pozostał chłopcem na posyłki.

Nie przyszedł udzielić mi przestrogi ani niczego w tym rodzaju. Chciał po prostu żebym oddał sprawiedliwość jego losowi. Wyłowił go w tych zdaniach, które właśnie zapisuję. Bo jeśli nie opiszę tej nocy, jego historia zamilknie, ale się nie skończy. Jeżeli nie jest w stanie ułożyć już żadnej baśni, to żeby chociaż stał się częścią którejś z moich. Nie chciał żyć na jawie, u siebie był tylko w swoich snach, teraz postanowił zakraść się do mojego.

Zaczynało świtać. Wstał bez słowa i na palcach, nie chcąc nikogo obudzić ruszył do drzwi. Na stole został pełen kubek herbaty. Odprowadziłem go do drzwi. Nacisnąłem lekko klamkę i przepuściłem w drzwiach. Jak przystało na gospodarza.

Jan Maciejewski

